

GAYLE FORMAN

*zostań, jeśli kochasz*

Przełożyła  
Hanna Pasierska

NASZA KSIĘGARNIA

Tytuł oryginału angielskiego *If I stay*

Copyright © 2009 by Gayle Forman

„Waiting for Vengeance” © by Oswald Five-0, *Serenade*,  
Grinning Idiot Records

© Copyright for the Polish translation  
by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2010

© Copyright for the Polish edition  
by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2010

MOTION PICTURE ARTWORK © 2014 METRO-GOLDWYN-MAYER  
PICTURES INC. AND WARNER BROS. ENTERTAINMENT INC.  
ALL RIGHTS RESERVED.

DLA NICKA  
*Nareszcie... Na zawsze*

## 9:23

„Czy ja umarłam?”

Naprawdę muszę sobie zadać to pytanie.

„Czy ja umarłam?”

Z początku wydawało się oczywiste, że jestem martwa. Że ta scena, kiedy stoję i patrzę, jest przejściowa – taki antrakt poprzedzający finał z jasnym światłem i życiem przelatującym przed oczami, kiedy to zostaną przeniesiona do miejsca docelowego.

Tyle tylko, że teraz są tu sanitariusze wraz z policją i strażą pożarną. Ktoś przykrył płachtą ojca. Jakiś strażak zamyka mamę w plastikowym worku. Słyszę, jak o niej rozmawia z drugim strażakiem, który ma na oko nie więcej niż osiemnaście lat. Ten starszy tłumaczy żółtodziobowi, że mama została prawdopodobnie trafiona pierwsza i zginęła natychmiast, co wyjaśnia brak krwi.

– Nagłe zatrzymanie akcji serca – mówi. – Kiedy serce nie może pompować, krew właściwie się nie leje, tylko sączy.

Nie mogę o tym myśleć: o mamie, z której sączy się krew. Zamiast tego wyobrażam sobie, że chciałaby zginać pierwsza, stanąć między nami i uderzeniem. Choć nie był to oczywiście jej wybór, tak by wołała.

Ale czy ja umarłam? Tę mnie, która leży na skraju drogi, z nogą zwisającą do rowu, otacza grupa mężczyzn i kobiet, desperacko obmywających moje ciało i zatykających mi czymś żyły. Leżę naga do pasa, bo sanitariusze rozdarli mi bluzkę. Jedna pierś jest odsłonięta. Zawstydzona odwracam wzrok.

Policjanci zapalili flary i pokazują kierowcom nadjeżdżającym z obu stron, żeby zawrócili, bo droga zamknięta. Uprzejmie podpowiadają inne trasy; boczne drogi, które zaprowadzą podróżnych tam, dokąd chcą dotrzeć.

Ludzie w samochodach z pewnością mają swoje sprawy, ale wielu nie zawraca. Wysiadają z wozów, obejmując się ramionami dla ochrony przed zimnem. Oglądają scenę wypadku. Potem odwracają wzrok, niektórzy płaczą, jedna kobieta wymiotuje w paprocie na skraju drogi. I mimo że nie wiedzą, kim jesteśmy ani co się stało, modlą się za nas. Czuję to.

I również z tego powodu myślę, że umarłam. Poza tym moje ciało wydaje się zupełnie zdrętwiałe, a przecież

wystarczy na mnie spojrzeć – na nogę odartą ze skóry i ciała do gołej kości – by stwierdzić, że powinnam wić się z bólu. Do tego nawet nie płaczę, chociaż wiem, że zaledwie przed chwilą coś niewyobrażalnego stało się z moją rodziną. Jesteśmy jak Humpty Dumpty\*: wszyscy królewscy konni i dworzanie złożyli nas w całość nie są w stanie.

Właśnie rozmyślałam o tym wszystkim, kiedy opatrująca mnie ruda i piegowata sanitariuszka krzyczy:

– Ósemka według skali śpiączki Glasgow. Intubujemy!

Razem z sanitariuszem z wystającą szczęką wsuwają mi do gardła rurkę, przyczepiają do niej worek z gumową gruszką i zaczynają pompować.

– Za ile może być helikopter?

– Dziesięć minut – odpowiada mężczyzna. – Dwadzieścia, żeby wrócić do miasta.

– Musimy ją tam dowieźć w piętnaście, choćbyś miał gnać jak sam diabeł.

Wiem, co myśli sanitariusz. Że w niczym mi to nie pomoże, i muszę się z nim zgodzić. Ale nic nie mówi. Zaciska tylko szczękę. Pakują mnie do karetki; ruda wsiada ze mną z tyłu. Jedną ręką naciska worek, drugą

---

\* Aluzja do postaci upersonifikowanego jajka z popularnej angielskiej rymowanki.

poprawia kroplówkę i przyrządy kontrolne. Potem przygładza lok na moim czole.

– Zostań z nami – prosi.

\* \* \*

(...)

Poza lekarzami, pielęgniarkami i pracownicą socjalną nikt do mnie nie zaglądał. Ta ostatnia rozmawia z babcią i dziadkiem znizonym, pełnym współczucia głosem. Tłumaczy, że mój stan jest „poważny”. Niezupełnie rozumiem, co to znaczy. W telewizji pacjenci są zawsze w stanie krytycznym albo stabilnym. „Poważny” nie brzmi dobrze. „Poważny” kojarzy się z grobem, do którego się trafia, kiedy na tym świecie sprawy poszły źle.

– Gdybym tylko mogła coś zrobić – wzdycha babcia. – Czuję się taka bezużyteczna, kiedy tu siedzę i czekam.

– Zaraz sprawdzę, czy można panią do niej zaprowadzić – obiecuje pracownica socjalna. Ma mocno kręcone siwe włosy, plamę z kawy na bluzce i zycziwą twarz.

– Wciąż jest na środkach uspokajających po operacji i znajduje się pod respiratorem, który pomaga jej oddychać, póki jej ciało nie dojdzie do siebie po wypadku. Ale nawet pacjentom w śpiączce dobrze robi, kiedy słyszą głosy bliskich.

Dziadek chrząka w odpowiedzi.

– Zna pani kogoś, do kogo by można zadzwonić? – pyta kobieta. – Krewnych, którzy zgodziliby się z panią posiedzieć? Rozumiem, że to ciężka próba, ale im pani będzie silniejsza, tym bardziej pomoże Mii.

Wzdrygam się na dźwięk swojego imienia. To rozdzierające przypomnienie, że o mnie mowa. Babcia wylicza najróżniejsze osoby, które właśnie w tej chwili tu jadą – ciotki, wujów. Ani słowem nie wspomina o Adamie.

Tylko jego jednego naprawdę chciałabym zobaczyć. Gdybym wiedziała, gdzie jest, spróbowałabym się do niego dostać. Ciekawe, w jaki sposób się dowie, co mnie spotkało. Babcia i dziadek nie mają jego numeru telefonu. Nie noszą ze sobą komórek, więc on nie może do nich zadzwonić. I nie wiem nawet, skąd by się miał tego domyślić. Ci, którzy w normalnych okolicznościach daby mu znać, że spotkało mnie coś złego, nie mogą już nic zrobić.

Stoję nad nieruchomym kształtem, który jest mną, oplecionym rurkami, podłączonym do piszczącej maszynarii. Skórę mam szarą. Oczy zaklejone taśmą. Chciałabym, żeby ktoś ją zerwał. Wygląda, jakby mnie swędziało. Ta miła pielęgniarka podchodzi bliżej. Nosi strój szpitalny w lizaki, chociaż to nie oddział pediatryczny. „Jak leci, kochanie?” – pyta, jakbyśmy wpadły na siebie przypadkiem w sklepie spożywczym.

\* \* \*

Z Adamem na początku wcale nie układało się gładko, ale ja chyba wierzyłam, że miłość wszystko zwycięża.

A kiedy odwiózł mnie do domu po koncercie Yo-Yo Ma, oboje byliśmy świadomi, że zaczynamy się w sobie zakochiwać. Sądziłam, że największe wyzwanie to dotarcie do tego etapu. W książkach i filmach opowieść kończy się zwykle w chwili, kiedy dwójka zakochanych wymienia czuły pocałunek. To, że odtąd żyli długo i szczęśliwie, uważa się za rzecz oczywistą.

W naszym wypadku wyglądało to trochę inaczej. Okazało się, że pochodzenie z dwóch różnych krańców społecznego uniwersum ma swoje wady. Nadal widywaliśmy się w skrzydle muzycznym, ale były to spotkania platoniczne, jak gdyby żadne nie chciało majstrować przy czymś, co nieźle funkcjonuje. Poza szkołą, kiedy przesiadywaliśmy razem w stołówce albo uczyliśmy się na dziedzińcu w słoneczny dzień, coś wydawało się nie tak. Nie czuliśmy się swobodnie. Rozmowa brzmiała sztucznie. Jedno zaczynało coś mówić i w tym samym momencie drugie wpadało mu w słowo.

– Mów dalej – zachęcałam.

– Nie, ty powiedz – wycofywał się Adam.

Uprzejmości sprawiały mi przykrość. Chciałam z nimi skończyć, odnaleźć blask tamtego wieczoru po koncercie, tylko nie wiedziałam, jak to zrobić.

(...)

(...)

Usiadłam na łóżku, tak by mieć przed sobą jego długie, wyciągnięte ciało. Drżącą dłonią odłożyłam smyczek. Sięgnęłam lewą ręką i pogładziłam Adama po głowie, jakby to była główka wiolonczeli. Uśmiechnął się znowu i zamknął oczy. Odprężyłam się odrobinę. Musnęłam jego uszy, jakby były kołkami, na które nawija się struny, a potem polaskotałam go żartobliwie, aż cicho zachichotał. Ułożyłam dwa palce na jego szyi. Następnie wzięłam głęboki oddech dla dodania sobie odwagi i sięgnęłam do piersi. Przesunęłam dłońmi w dół i w górę przez całą długość torsu, wyczuwając ścięgna przy zakończeniach mięśni, i przypisałam każdemu z nich jedną strunę – A, G, C, D. Końcami palców prześledziłam kolejno ich przebieg. Adam spoważniał, jakby się na coś koncentrował.

Sięgnęłam po smyczek i przeciągnęłam nim w poprzek na wysokości bioder Adama, gdzie – jak sobie wyobraziłam – znajdowałby się podstawek wiolonczeli. Zagrałam z początku delikatnie, potem z większą siłą i energią, w miarę jak melodia rozbrzmiewająca teraz w mojej głowie nabierała mocy. Adam leżał zupełnie nieruchomo, z jego ust wydobywały się ciche westchnienia. Spojrzałam na smyczek, na swoje ręce, na twarz Adama i poczułam ogarniającą mnie falę miłości i pożądania

oraz nieznanego dotąd poczucia siły. Nie miałam pojęcia, że ja mogłabym wywołać u kogoś takie uczucia.

Kiedy skończyłam, Adam wstał i pocałował mnie długo, namiętnie. „Moja kolej” – rzucił. Podniósł mnie z łóżka i na początek zdjął mi przez głowę sweter i zsunął trochę dzinsy. Potem usiadł na łóżku i ułożył mnie sobie na kolanach. Z początku tylko mnie trzymał. Z zamkniętymi oczyma próbowałam poczuć jego wzrok na swoim ciele, kiedy na mnie patrzył jak nikt wcześniej.

Następnie zaczął grać.

Najpierw parę akordów tuż poniżej ramion, co łaskotało i pobudziło mnie do śmiechu. Delikatnie musnął mnie dłońmi, przesuwając w dół. Przestałam chichotać. Wrażenie, że jestem kamertonem, nasiliło się – wibracje narastały z każdym dotknięciem Adama.

Po chwili zmienił styl na hiszpański, kiedy potrąca się struny czubkami palców. Traktował górną połowę mojego ciała jak gryf, pieszcząc włosy, twarz, szyję. Muskał moje piersi i brzuch, ale czułam, że jego dotyk rozchodzi się po całym moim ciele. Grał coraz energiczniej; kamerton oszalał, pulsował od wibracji, aż całe moje ciało zaczęło śpiewać i nie mogłam złapać tchu. A kiedy poczułam, że nie wytrzymam tego ani chwili dłużej, wir wrażeń osiągnął oszalamiające crescendo\* i każdy mój nerw zapłonął.

---

\* Crescendo – natężenie dynamiki w utworze muzycznym (przyp. red.).

Otworzyłam oczy, rozkoszując się ciepłą falą spokoju, rozlewającą się po ciele. Wybuchnęłam śmiechem. Adam też. Całowaliśmy się aż do czasu, kiedy musiał wracać do domu.

(...)

(...)

Cała trójka w milczeniu rusza korytarzem. W windzie kobieta próbuje przygotować dziadków na mój widok, opowiada o obrażeniach zewnętrznych, które wyglądają poważnie, ale są uleczalne. „Najbardziej niepokoją lekarzy urazy wewnętrzne” – wyjaśnia.

Traktuje dziadków, jakby byli dziećmi. Oni jednak są twardsi, niż można by sądzić. Dziadek był sanitariuszem w Korei. A babcia ciągle ratuje różne stworzenia: ptaki z połamanymi skrzydłami, chorego bobra, jelenia potrąconego przez samochód. Jeleń trafił do rezerwatu przyrody: zabawne, bo normalnie babcia nie znosi tych zwierząt – niszczą jej ogród. „Urocze łajdaki” – mówi o nich. „Smaczne łajdaki” – ripostuje dziadek, piekąc na grillu steki z dziczyzny. Jeśli jednak chodzi o tamtego jelenia, babcia nie mogła patrzeć, jak cierpi, więc go uratowała. W głębi duszy podejrzewam, że uznała go za któregoś ze swoich aniołów.

A jednak, kiedy przez podwójne automatyczne drzwi wchodzi na OIOM, oboje się zatrzymują, jakby powstrzymani przez niewidzialną barierę. Babcia bierze dziadka za rękę, a ja próbuję sobie przypomnieć, czy widziałam, żeby robiła to wcześniej. Rozgląda się po łózkach, szukając mojej postaci, lecz w chwili, kiedy pracownica socjalna wyciąga dłoń, dziadek mnie zauważa i rusza do mojego łóżka.

– Hej, kaczuszeko – mówi. Nie nazywał mnie tak od wieków, od czasu, kiedy byłam młodsza niż Teddy. Babcia zbliża się wolno, chwytając powietrze niewielkimi haustami. Chyba jednak ranne zwierzęta to zupełnie co innego.

Pracownica socjalna przysuwa dwa krzesła i ustawia je w nogach łóżka.

– Mio, twoi dziadkowie są tutaj. – Zaprasza ich gestem, by usiedli. – Zostawię teraz państwa samych.

– Czy ona nas słyszy? – pyta babcia. – Czy zrozumie, co będziemy do niej mówić?

– Szczerze mówiąc, nie wiem – odpowiada kobieta. – Ale państwa obecność może wpłynąć kojąco, jak długo państwa słowa będą uspokajające.

Posyła im surowe spojrzenie, jakby ostrzegając, by nie mówili nic, co by mnie mogło zaniepokoić. Wiem, że jej praca polega na udzielaniu takich właśnie ostrzeżeń; że ma na głowie tysiące spraw i nie zawsze może okazywać wrażliwość, ale przez sekundę jej nienawidzę.

Po jej wyjściu babcia i dziadek siedzą chwilę w milczeniu. Potem babcia zaczyna paplać o orchideach, które hoduje w szklarni. Zauważam, że zmieniła ogrodniczy fartuch na czystą parę sztruksów i sweter. Ktoś musiał jej przywieźć z domu świeże ubranie. Dziadek siedzi zupełnie nieruchomo, tylko ręce mu drżą. Nie jest gadatliwy, więc musi mu być trudno rozmawiać na rozkaz.

Przechodzi kolejna pielęgniarka. Ma ciemne włosy i ciemne oczy podkreślone mocnym, błyszczącym makiżajem. Nosi też tipsy z naklejonymi serduszkami. Takie piękne paznokcie z pewnością wymagają sporo wysiłku. Jestem pełna podziwu.

Nie zajmuje się mną, ale mimo to podchodzi do babci i dziadka.

– Niech państwo nie wątpią ani przez chwilę, że ona może was słyszeć – mówi. – Zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co się dzieje wokół.

Przystaje wsparta pod boki. Niemal potrafiłabym sobie wyobrazić, jak wydmuchuje balon z gumy do żucia. Babcia i dziadek wpatrują się w nią, spijając z jej ust każde słowo.

– Pewnie państwo myślą, że wszystko zależy od lekarzy, pielęgniarek i tego tutaj – ciągnie, wskazując gestem ścianę sprzętu medycznego. – Nic podobnego, to ona o wszystkim decyduje. Może czeka tylko na właściwy moment. Więc niech państwo z nią rozmawiają. Proszę jej powiedzieć, że ma czas, ale musi wrócić. Że państwo na nią czekają.

\* \* \*

---

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel.: 22 643 93 89, 22 331 91 49

faks: 22 643 70 28

e-mail: [naszaksiegarnia@nk.com.pl](mailto:naszaksiegarnia@nk.com.pl)

Dział Handlowy

tel.: 22 331 91 55, tel./faks: 22 643 64 42

Sprzedaż wysyłkowa

tel.: 22 641 56 32

e-mail: [sklep.wysylkowy@nk.com.pl](mailto:sklep.wysylkowy@nk.com.pl) [www.nk.com.pl](http://www.nk.com.pl)

---

*Książkę wydrukowano na papierze*

*Ecco-Book Cream 60 g/m<sup>2</sup> wol. 2,0.*

Redaktor prowadzący *Katarzyna Piętka*

Opieka merytoryczna *Magdalena Korobkiewicz*

Redakcja *Renata Kicka*

Korekta *Roma Sachnowska, Zofia Kozik*

Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12790-7

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014 r.

Druk: Nasza Drukarnia